TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 2. *Chicago, Ills., 8 Lipca, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ
— Z —
CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

— Ten ostatni argument przeważa wprawdzie za twoją miłością. Zmieniam zdanie moje i radzę ci, ażebyś się postarał o uwolnienie od służby na czas niejaki i po upłynionym czasie przyzwoitej żałości, póty oblegał serce panny Maryi, póki go nie zdobędziesz.

— To nie może być, ja w jej domu niczego nie dokażę, ona ma jakiegoś narzeczonego, który za królem poszedł pod Wiedeń, a jak ten powróci, to ja pewno odprawkę dostanę. Ale myślałem nad tem, czyby jej tutaj sprowadzić nie można.

— A zapewne, to będzie daleko wygodniej dla Jegomości; alem jeszcze o podobnej konkurencyi jak żyję nie słyszał.

— Na wszystko jest sposób; obmyśliłem środek, przy którym wszelkie względy i najściślejsza przystojność zachowane zostaną, a panna jednak bardzo chętnie do nas tutaj przybędzie, i to wszystko na tem zależy, abyś ty tylko chciał.

— A, ciekawy bardzo jestem, jakim sposobem.

— Oto, niech ją tylko królowa przez wzgląd na zasługi ojca przyjmie do dworu swego.

— Nie zła myśl, ale to troszkę moją władzę i moje wpływy przechodzi. Trzeba do tego użyć przemożniejszego pośrednictwa; dzisiaj jestem na wieczór u margrabiego d'Arquain, bądź tam ze mną, a zobaczymy, co się da zrobić.

Margrabia d'Arquain, ojciec Maryi Kazimiery, królowej polskiej, małżonki Jana III, należał do tych szczęśliwych ludzi, którzy całej przyjemności znaczenia bez żadnych trosk i trudów używają. Żył on na dworze polskim swobodnie i wesoło, bo go ani kraj, ani przygody pospolite nie obchodziły; nie piastował żadnego urzędu, nie miał żadnych obowiązków, a miał wszelako to poważanie, które wzbudza w ludziach łaski potrzebujących wpływ u panujących posiadany. Mógł on bezkarnie najgrawać się ze wszystkiego, co mu się w rządzie i w kraju nagannem lub śmiesznem być zdało; mógł uchodzić za przemożnego pana i protektora, nie czyniąc żadnych na to nakładów; mógł wdawać się w sprawy pospolite, osobistość jego obchodzące, nie narażając się nawet na wymówki i sarkania, dla tego, że tylko pod zasłoną tajemnicy działał.

Częste bywały u niego schadzki, na których późno w noc czas na biesiadach i grze trawiono. Mało on przestawał z Polakami, i ziomkowie jego bywali tylko najczęściej przypuszczani do używania z nim wespół wszystkich przyjemności wesołej zabawy i wykwintnego stołu.

Gdy Clotomont wraz z Mondorem na podobną biesiadę do mieszkania jego wchodził, zastał samych ziomków swoich grą zajętych. Wielki stół, w środku pierwszego pokoju stojący, otoczony był ze wszech stron grającymi, którzy to chciwie poglądali na karty w lewą i prawą stronę zręcznie z rąk bankiera wypadające, to odwróceni od stołu darli z gniewem karty zdradzieckie, to nakoniec z wypogodzoną twarzą sięgali przez wszystkich po datek przez los im przysądzony. Napróżno powitał niektórych Clotomont, gdyż żaden oka z głównego przedmiotu nie spuścił; minąwszy ich przeszedł do drugiego mniejszego pokoju, gdzie margrabia d'Arquain z margrabią de Bethune, siedząc przy kominku u mniejszego stolika, w pikietę grali. Na palcach weszli przybyli dworzanie, nie chcąc przeszkodzić rachowaniu punktów, skłonili się z uszanowaniem grającym i lekkie głowy skinienie w odpowiedzi od nich odebrali. Po skończeniu partyi, gdy się margrabia de Bethune do następnego dania kart zabierał, raczył margrabia d'Arquain powitać Clotomonta i Mondora, i zapytać się o powodzenie wyprawy tego ostatniego. Clotomont odpowiedział na to ze zwykłem sobie szyderstwem i chciał naprowadzić rzeczy tak, aby o wiadome pośrednictwo ojca królowej prosić. Lecz margrabia de Bethune przerwał mu i rzekł z urąganiem obracając się do Mondora: „Cóżto za jakaś niezrównana piękność, do której ty wzdychasz Mondorze? czyż można znaleźć upodobanie w tych woskowych figurach, które na prowincyi wszędzie spotykamy? Wszystkie kobiety polskie są tak zimne, jak lody, które niedługo cały ich kraj pokryją.

— Mondor ma jednakże mocne powody zaprzeczać temu zdaniu, rzekł Clotomont, i twierdzi: że potrafi w pięknej Maryi tak żywe czucie obudzić, jakie w nim jej wdzięki nadewszystko posag ocuciły.

— Nie śmiałbym, odparł na to Mondor, odezwać się tutaj z mojem zdaniem, bo to za uprzedzenie przeczytane zostanie; lecz pomimo że zawsze tęsknie za niezrównaną uprzejmością kobiet naszych, wyznać muszę, iż nieraz już miałem sposobność wielbienia szlachetnych uczuć i skromności Polek.

Na te słowa obejrzał się z urągającym uśmiechem de Bethune, a margrabia d'Arquain rzekł do niego:

— Darować trzeba młodej wyobraźni i pierwszym uniesieniom miłosnego zapału, bo te nas zawsze zaślepiają, i dlatego niedziw, że Mondor w uniesieniu więcej widzi jak to, co jest w istocie.

— Nie miałem ja, Mości margrabio — odparł Mondor — żadnych powodów, ani sposobności do miłosnych zapałów, jak to dopiero Clotomont opowiedział; lecz gdybym widział Maryą, ocucającą się z najcięższego zasmucenia na wspomnienie bohaterskich czynów ojca swojego, gdym widział rumieniec uniesienia barwiący na chwilę jej wybladłe lica i te ledwo co oschłe oczy iskrzące się najświetniejszym zapałem; przypomniałem sobie odważne Spartanki, które nam historya w tak pięknem świetle maluje, i wyznać musiałem, że Polka stawiła przedemną rzeczywisty obraz tego, co dotąd w wyobraźni mojej tylko istniało.

— Wiem, jaką ta Spartanka będzie małżonką, rzekł w równym zawsze tonie margrabia de Bethune, a jeżeli wytrwasz w miłosnym zapale, jeżeli, co nie wątpliwe, dopniesz swego zamiaru, pomnożysz wówczas liczbę tych pokor-

nych mężów, którymi cała Polska jest zapełniona.

— Nie wiem czy to jest wyłączny talent Polek — dodał z uśmiechem Margrabia d'Arquain — panować nad mężami?....

— Mnie się zdaje — rzekł Clotomont, nie domyślając się niby do czego uwaga ojca królowej miała zmierzać — mnie się zdaje, że to bynajmniej nie uwłacza kobietom, gdy umieją wziąść przewagę nad mężami; dowodzi to tylko mocy ich ponęt i wrodzonego dowcipu, za którego pomocą umieją zyskać względy małżonków...

— Albo dowodzi raczej — przerwał margrabia de Bethune — że małżonkowie są niedołężni i ograniczeni, skoro się niewieściej przemocy poddają.

— Czternaście króli i piętnasty sekwens — przerwał margrabia d'Arquain — dostaniesz pan, mości margrabio, dziewięćdziesiąt; proszę przejrzeć swoją kartę, wszak nic wcale nie rachujesz.

Margrabia zajrzał do kart i przestał mówić, bo szło o znaczną zapłatę; a Clotomont nie śmiał przerwać zrazu grającym, ani odnowić potem przedmiotu rozmowy, któraby wszystkich na zbyt delikatną materyę była naprowadziła. Wkrótce też dano znać do stołu, i wszyscy obecni przeszli do sali jadalnej, w której zastali kolacyą na sposób francuzki przyrządzoną i zastawioną.

Z początku zasiadło do stołu kilku posępnych, którzy straty swoje obliczali; lecz gdy wypróżniono kilka butelek wina, ojczyznę przypominającego, zajaśniała wesołość na wszystkich twarzach, i ucinkowy dowcip ze wszystkich ust snuć się zaczął.

— Posil się, posil Mondorze! — rzekł margrabia de Bethune — boś pewnie zgłodniały po twojej wyprawie; miałeś los Tantala, kiedyś siedział przy stole zastawionym potrawami, których jeść nie można było.

— Wszakże on był na pogrzebie, — rzekł jeden z obecnych — któż przy tak smutnym obrzędzie o biesiadowaniu myśleć może?

— Polacy — przerwał margrabia d'Arquain — i w tym razie jedzą i piją za siebie i za umarłych, a to tak zapamiętale niekiedy, iżbyś rozumiał, że żal po umarłym jest tak wielki, iż każdy życzy skrócić sobie życie przez nieumiarkowanie, ażby się prędzej z nim złączył. Wszak prawda Mondorze?....

— Ja nie byłem świadkiem takiej nieprzyzwoitości — odpowiedział Mondor — bom siedział u wyższego rogu stołu, gdzie krewni nieboszczyka i damy miejsce miały; ale na szarym końcu było dosyć głośno przy końcu obiadu.

— Panowie moi! — rzekł margrabia de Bethune, — od Mondora niczego się nie dowiecie; on patrzał na wszystko przez szkło pobłażania, bo mu miłość to szkło przed oczy postawiła.

— Ja go wyręczę — zawołał Clotomont — bom nieraz miał zaszczyt należeć do biesiad polskich, i będę mu wszystkie zwyczaje i cały sposób postępowania recytował, a on niechaj zaprzecza, jeżeli może. Wszakżeście zasiedli do stołu, którego jeden koniec zdawał się należeć do pańskich pokojów, a drugi do przedpokoju. Wszystko decrescendo: u góry nakrycie dosyć porządne, u końca stół brudny; tam srebro połyskujące na wazach, półmiskach, pucharach i sztućcach, tutaj cynowe misy i puchary, ani jednego noża, widelca lub łyżki na stole, bo każdy szlachcic dobywał własnego noża i widelca z zapasa, i łyżki rogowej na rzemyku do niego przymocowanej, i wszystkie potrawy kolejno, zrzuciwszy czasem kości pod stół, na jednym glinianym talerzu pożerał. U góry węgierskie wino, czasem spleśniała nawet butelka, u dołu narodowy miodek, który lica czerwieni i głowy zapala. Tam wielka piramida lub świątynia z lodowatego cukru, nec plus ultra sztuki kuchmistrza, tutaj ogromny stos pieczeni przez dwóch hajduków ledwo do izby wniesiony, którego czubek zawierał zwierzynę dla wyższych gości, a fundament z wołowej i baraniej pieczeni dla pospolitego ruszenia.

— Aleś przepomniał jeszcze — dodał Mondor — że drób i ptastwo dzikie, wierzch piramidy pieczonej kształcące, przez ręce zgrabnych konkurentów i pretendentów przechodzi, nim się przed wyższych gości dostanie.

— Tak, tak — dodał margrabia d'Arquain — jest to dowodem dobrego wychowania i wyższego poloru, kiedy kawaler kapłona na powietrzu rozebrać umie; przez to samo już pannie podobać się może. No dalej, Mondorze, daj nam dowód twojej zręczności, oto jest właśnie kapłon, na polskiej wprawdzie ziemi zrodzony, lecz po francuzku utuczony i upieczony; zobaczymy czyś godzien otrzymać rękę panny Podskarbianki.

Te i tym podobne szyderstwa zajęły cały czas wieczerzy; przy wetach zaczęto śpiewać we-

sołe pieśni, i cała kompania z większym hałasem wróciła do gry, jak była od niej do biesiady przeszła.

Clotomont upatrzył czas gdy margrabia d'Arquain od innych się nieco oddalił i przed kominkiem zasiadł, a przedstawiwszy mu zwięźle widoki i nadzieje Mondora, prosił wraz z nim o wstawienie się do królowej w wiadomej okoliczności. Margrabia przyjął prośbę łaskawie, i ucieszony tem że miał sposobność okazania swego wpływu, obiecał swoją protekcyę proszącemu.

ROZDZIAŁ III.

.....więc naucz światom należycie,
Na czem zawisło, jakie u dworu jest życie?

Krasicki Sat.

Po upłynieniu kilku niedziel od pogrzebu Podskarbiego, następował dzień Ś-tej Salomei, uroczysty dla domu Podkomorstwa, w którym się całe sąsiedztwo i wszyscy krewni, dla złożenia powinszowań samej Podkomorzynie, zjeżdżali. Świeżo nadeszła nowina, wskutek zabiegów Mondora, była niejaką pociechą po utuleniu pierwszego żalu, i miała uświetnić zwykły obchód rocznicy imienin.

Już się zjechały sąsiadki i powinowate państwa Podkomorstwa, i każda z nich oświadczała po kolei, iż długo się wahała, czy ma oddać attencyą lub zaniechać tego dla świeżo doznanego smutku; lecz że chęć pocieszenia przemogła nad wszelkiemi innemi względami. Wszystkie zaś sprowadziła nie tak dalece nadzieja zabawy, jako raczej najświeższa nowina, która się po całem ziemstwie rozchodzić poczynała, że Marya Modrzejowska przez królowę na damę honorową powołaną została.

— Ah! moje serce, — rzekła pani Kasztelanowa, poważana w całej okolicy dama, do Podkomorzyny po zwyczajnem powinszowaniu i powitaniu,.. z jakimże czułym affektem przyjęłam wieść pomyślną o sukcessach Jejmość panny Podskarbianki! jestto niemałym zaszczytem dla familii i dla ciebie kochającej ją ciotki, że w nagrodę zasług ś. p. jej ojca, córka jego tak wysokiego zaszczytu dostąpiła.

— Tedyto jest prawdą, co nas doszło, — rzekła pani Chorążyna z miłym uśmiechem i spojrzała przytem na dwie dorosłe córki swoje, z wyrazem który i zazdrość i żal malował, — ah! jak mnie to cieszy, — dodała równie z słodkim jak pierwej uśmiechem.

— A gdzież jest kochane dziecię? — rzekła stara Podstolina, — wszakże ja ją to nie raz piastowałam, kiedy jeszcze wszyscy na nią Maryneczko wołali. Mój Boże! czybym się też wtenczas spodziała tego; gdzież jest tedy kochane dziecię?

— Nie spodziewała się dzisiaj tak rychło łaskawych gości, odpowiedziała Podkomorzyna, i ciągłym jeszcze smutkiem zajęta nie łatwo dała się namówić na to, aby włos trefiła i ozdobniejsze szaty przybrała, w jakich się między ludźmi okazać wypada.

— A, — rzekła Kasztelanowa, — niechże odrzuci na bok wszelkie ceregiele, bo skoro przyjęła ofiarowane sobie miejsce, pamiętać winna, że strój wykwintny do pierwszych jej obowiązków należy.

— Między nami mówiąc, — ozwała się nieco ciszej Chorążyna, — czy Waszmość Pani zważyłaś też dostatecznie niebezpieczeństwa, na które się jej synowica, na dworze takim jak nasz, z samych prawie cudzoziemców złożonym, naraża? Boże mię skarz, ażebym miała w czemkolwiek złe mieć suspicye względem stałości duszy panny Maryanny; wszelakoż.....

— Nie lękam się w tej mierze niczego,'' odparła z przyciskiem podkomorzyna; ,,synowica moja zbyt jest bogobojnie wychowana, zbyt utwierdzona w skromności i cnocie, ażebym na niej z zupełną ufnością polegać nie miała Zresztą, będąc już narzeczoną z woli ś. p. ojca....

— Ale ale, — przerwała pani podstolina, — a JP. Rotmistrz cóż na to powie, gdy za powrotem z wyprawy wiedeńskiej narzeczonej swojej w domu nie zastanie?

— Wypadało go się radzić w tej mierze, — rzekła chorążyna z przyciskiem.

— Wypadało zapewne, — dodała kasztelanowa.

Wtem otworzyły się nagle podwoje, wszystkich oczy zwróciły się na wchodzącą Maryą i wszyscy zamilkli.

W czarnym stroju, bez żadnej powierzchownej ozdoby, wchodziła Marya zwolna z wyrazem wewnętrznego żalu i pewnego utrudzenia, które w niej okazanie się między obcemi osobami wzbudzało. Na śnieżnem czole rozdzielały

się równo czarne włosy, i gładko schodząc się z tyłu w kilku bez wstążek splecionych warkoczach po ramionach spadały. Żywe jej oko, zasępione jeszcze mgłą smutku, jaśniało jednakże tym wyrazem wyższości i żywego czucia, które piętnem jej duszy było. Wzniosła jej postawa, zręczna i pełna wdzięków kibić obok szlachetnych rysów twarzy, przeznaczały ją poniekąd do wyższego powołania, do którego zawód zdawał się być właśnie przed nią otwarty. Skłoniła się z uszanowaniem starszym od siebie niewiastom, rówienniczkom z uprzejmą skromnością. Wszystkie przejęła na chwilę pewnem poważaniem, które miane o niej nadzieje wzbudzały.

Gdy siadła między pannami, wznowiono rozmowę o dworszczyznie, ale bez owych przymówek, których w jej obecności czynić nie śmiano.

— Muszę ja cię wziąść na osobność, moja kochana Marysinko! — rzekła podstolina, — i dać ci nie jednę zbawienną naukę, bo ja przybyłam przez to, co ciebie czeka. Za ś. p. króla Władysława prawie w twoim wieku byłam, kiedym podobnie jak ty do dworu powołaną została, i przez długi czas tam bawiąc, dopierom go wtedy porzuciła, gdy się ś. p. podstoli o moję rękę starać zaczął.

— Ale Waszmość Pani — rzekła chorążyna, — nie byłaś zaręczona podstolemu, gdyś do dworu królowej odjechała.

— I owszem, — odpowiedziała podstolina, — tak samo zupełnie jak panna Podskarbianka, i tak mu wiary dochowałam jak ona jej panu Rotmistrzowi dochowa.

— Świętą będzie zawsze dla mnie wola ojca mego, — rzekła z pewną szlachetnością Marya, — a pan Rotmistrz, lubo mi mało jeszcze dotąd znajomy jako przez niego wybrany, jako jego towarzysz broni, jako mąż pełen męztwa, zawsze pamięci i poważania mego przedmiotem będzie, i dopełnię względem niego danych przyrzeczeń.

— O tem nie wątpię, — rzekła podstolina, — ale pomijając względy na skromność niewieścią i na wytrwanie przy raz obranych affektach, ważniejsze jeszcze, moje serce, masz konsyderacye, których przy dworskiej służbie nigdy z oka spuszczać nie powinnaś. A naprzód i nadewszystko applikowanie i akkommodowanie się Najjaśniejszej Pani twojej. Wierzaj mi, że na tem jednem i dalsza fortuna twoja i sukcessa tych wszystkich, którzy cię obchodzić mogą, stoją. A przez cóż dzisiejsza królowa do tego najwyższego splendoru doszła? Wszakże ona nastała do dworu króla Władysława, gdy ja go opuszczałam, była w wielkich łaskach u królowej, która ją z sobą z Francyi przywiozła, ztąd poszło dobre zamęźcie pierwsze z panem Zamojskim, a per consequens drugie jeszcze lepsze, wielkie Hetmańſtwo i nakoniec korona. Tak tak, panna dworska, która potrafi uskarbić sobie stateczną, łaskę królowej, a zwłaszcza takiej, co między nami mówiąc, tak silną ma influencyą na króla Pana a małżonka swego, że mówię, taka dworska panna i sobie losy fortunne zabezpieczyć i tym, którym dobrze życzy, wielce pomocną być może.

— Bez wątpienia, — dodała kasztelanowa, — ja sama mogłabym z mojej familii przykłady na poparcie tego przytoczyć. Mam nawet wszelką nadzieję, że nasza Panna podskarbianka, tyle powabów w sobie łącząca, tak pełna uprzejmości i gracyi. Najjaśniejszej królowej podobać się nie omieszka. Ale w tym razie serduszko, będziesz mi musiała pamiętać o jednym powinowatym moim z linii macierzystej, którego mi Pan kasztelan zanadto zaniedbuje.

— Oh! to bagatele, — rzekła podstolina, — aby tylko raz potrafila sobie zjednać affekt, to większe względy przyjaciołom swoim wyjednać potrafi. Ja np. nie chwaląc się, dopomogłam do starostwa pewnemu....

— Do starostwa? doprawdy — przerwała chorążyna, — to rzecz bardzo dobra: mój Boże! tyle ludzi zasłużonych oddawna próżną się tylko cieszy expektatywą. Bo gdyby Panna podskarbianka wiedziala, jak dawno mój mąż usługi swoje niesie krajowi, i jak wielkie ma prawo do tej łaski królewskiej, która go już tylekroć minęła....

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RÓŻA Z TANENBERGU.

POWIEŚĆ STAROŻYTNA

PRZEZ

X. KANONIKA SZMIDTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

Róża traci swą dobrą matkę.



Agdy Róża liczyła lat czternaście, i potrzebowała jakkolwiekbądź dobrze wychowana, w takim wieku, rady i opieki macierzyńskiej, żeby dokończyć utwór swej nauki i przykładu, podobało się Najwyższemu ją osierocić. Matylda nagle zesłabła, i sądziła, że jest niebezpiecznie chorą. Nie taiła przed córką niebezpieczeństwa, lecz że właśnie Edelbert był na wyprawie wojennej, rozkazała córce, aby niezwłocznie konnego wysłała gońca do ojca, donosząc mu o położeniu rzeczy.

— Gdy to uczynisz, — rzekła, — poślij także do księdza Opata Norberta z prośbą, ażeby mnie w celu opatrzenia Sakramentami odwiedzić raczył. On mnie chrzcił, on, gdym była w stósownym wieku, przysposobił do Sakramentów śś., on zechce też przy przejściu z życia teraźniejszego do wieczności być moim wodzem i doradcą. Byłoby to zapóźno, gdybym dopiero teraz sposobić się chciała do wieczności, boć całe życie człowieka powinno być ciągłem sposobieniem się do tego celu, zwłaszcza, iż to jest najistotniejsze zatrudnienie nasze na tej ziemi. Wszakże, jakże to jest człowiek ułomnym! i najświętsi ludzie nie są bez wad, a gdy słyszą wołanie Sędziego, powinni odpowiedzieć Mu w gotowości, i korzystając z czasu miłosierdzia, oczyszczać duszę swą z win, choćby i małych, w św. Sakramentach.

Następnego dnia przybył pożądany kapłan, starzec sędziwy i uprzejmy, opatrzył chorą Sakramentami; odczytał jej zwykłe modlitwy, mówił o życiu przyszłem z taką dobitnością i urokiem, że chora uczuła się być mocno pokrzepioną, a Róża ujęta poświęceniem się woli Najwyższego swej matki, radaby była matce towarzyszyć na całą wieczność. Tymczasem służyła jej z największą pieczołowitością we dnie i w nocy.

W parę dni przybył późno w noc Edelbert. Róża wyszła na przywitanie ojca i spotkała go wchodzącego do zamku zalana łzami, niezdolna opowiedzieć mu stanu cierpiącej matki. Wzruszony Edelbert, przecież nie sądził, aby żona jego miała być tak niebezpiecznie chorą; lecz gdy przystąpił do jej łoża, przeląkł się, widząc jak jest zmienioną i bliską zgonu. Przerażenie rozwiązało się w potoku łez, które zalały twarz

jego. Róża stała przy chorej również zalana łzami. Śmiertelnie chora Matylda podała drogiemu mężowi z nieopisanym wdziękiem rękę prawą, córce lewą i słabym odezwała się do nich głosem w te słowa:

- Drogi sercu memu mężu, i ty luba córko! moja ostatnia godzina szybko się zbliża; ja już nie ujrzę wschodzącego słońca. Nie płaczcie! wszakci mi tam będzie lepiej jak jest tu, a czyż my się to na zawsze rozstajemy? O nie! my się tam zobaczym, a nic już nas rozłączyć nie zdoła.

Zamilkła, bo osłabienie nie pozwoliło jej dłużej mówić. Po chwili odpoczynku poczęła znowu mówić:

— Kochany Edelbercie! Jam ci nie dała jeszcze portretu mego na pamiątkę, widzisz naszą córkę, oto jest mój żywy obraz, niechże ci będzie pamiątką po mnie, jest to najmilsza mi rzecz, którą ci daję w obliczu Boga. Usiłowałam ją wychować po chrześciańsku, pobożnie; skończyć jej wychowanie jest mi zabroniono, kończ je ty, popraw w czem ja mimowoli może zbłądziłam. Tę miłość jakiej mi w życiu dawałeś dowody, a za którą ci serdecznie dziękuję, poświęć jej.

— A tobie, Różo, daję w tych ostatnich chwilach życia mego świadectwo, iżeś mi wiele przyjemności czyniła; byłaś dobrą córką, nigdyś mnie nie zasmuciła. Bądź zawsze pobożną, niewinną, dobrą, miłuj Boga, zaufaj i powierz się zupełnie naszemu Zbawicielowi; pełnij to, co On po nas wymaga, nie pozwalaj sobie nigdy tego, czego sumienie twoje nie pochwala. Miłuj i szanuj ojca! odtąd, gdy mnie już nie będzie, zwala się na ciebie obowiązek służenia mu i uprzyjemniania życia domowego. Bądźże dla niego dobrą córką; niewiele upłynie godzin, a oto on ci sam tylko pozostanie twój najwierniejszy doradzca i przyjaciel.

Po chwili odpoczynku wzniosła swe oczy ku niebu i tak się modliła:

— Zachowaj ją dobry Boże od złego, a utwierdzaj w dobrem! Wysłuchaj modły błagającej Cię za swem dzieckiem matki i daj łaskawie, ażebym się z nią złączyła kiedyś w szczęśliwej wieczności!

Ojciec i córka zalewali się rzewnie łzami. Chora wzięła rękę męża i córki, złączyła je obejmując swą stygnącą ręką i rzekła:

— My troje byliśmy zawsze jednej myśli i jednego ducha na tej ziemi, ja myślę, że będziemy takiemi i na tamtej; śmierć nie zdoła nadwątlić naszego związku, a wyzucie z ciała wydoskonali naszą wzajemną miłość.

Po chwili odetchnienia spojrzała na męża i córkę wypogodzonym wzrokiem anioła, w obliczu jej widać było promienie nadziei blizkiego, szczęśliwego rozwiązania i słabnącym głosem rzekła:

— Wierzcie mi, w tym zgonie moim daje mi Bóg szczególniejszą pociechę i radość. O moja luba Różo! jakże mi to jest wielką pociechą, gdy ty widzisz, jak spokojnie i z wielką nadzieją umierają ci, którzy wierzą i żyją w Chrystusie, o! oni nie umrą na wieki! To jest moją pociechą najmilszą w tem rozstaniu się z życiem.

Poczem zwróciła gasnące swe oczy na krzyż niedaleko wiszący, złożyła pobożnie swe ręce, i właśnie już mało zrozumiałym głosem modliła się:

— Jak Ty Zbawicielu polecałeś ducha Twego w ręce Ojca, tak ja polecam ducha mego w ręce Twoje.

I zamilkła, twarz jej zbladła, oczy osłupiały, skończyła.

Róża jęczala z żalu, Edelbert z łkaniem wyrzekł:

— Żyła jako święta, tak też umierała. Przebyła już biedne życie! Daj Boże, żebyśmy też tak pięknie kończyli, i złącz nas znowu społem.

Smutku, który dręczył tej nocy i dni następnych męża i córkę, niepodobna jest należycie opowiedzieć. Cała okolica dzieliła z nimi ten smutek, bo w każdym domu, w każdej chatce żałowano stratę wielkiej swej dobrodziejki, właśnie jak gdyby matki. Ksiądz Opat prowadził zwłoki zmarłej do grobu, i przemówił do licznie zgromadzonego ludu, ale niepodobna było mówić przed głośnem narzekaniem i płaczem. Sam mówca nawet rozpłakał się. Żeby przecież zakończyć, dał znak uciszenia ręką, a gdy się uspokoiło, zakończył temi słowy:

— Gdzie łzy tak mówią głośno, kaznodzieja powinien zamilknąć! Żyjmy tak, iżby grób nasz podobnież skrapiały łzy wdzięczności. Siejmy tu tak hojnie dla Nieba, jak siała zmarła, a niechybnie będziemy obficie z nią zbierali w wieczności.

ROZDZIAŁ III.

Róża pielęgnuje swego ojca.

Rycerz Edelbert powołany do swego książęcia, wyruszył był z swymi poddanymi na wojnę, po kilku miesiącach w późną jesień powrócił z wyprawy, znacznie ranny w prawą rękę. Róża tem nieszczęściem strapiona, pielęgnowała ojca z największą pieczołowitością. Nie odstępowała od jego łoża, nie spuszczając się na sługi, sama sporządzała mu pokrzepiający zasiłek, pomagała przy zawijaniu rany; a kiedy ojciec smutny, iż nie może służyć swemu księciu, nudził się w domu, ona starała się wszelkiemi sposobami rozpędzić posępne myśli i rozerwać go. Siadła przy nim z krosienkami, opowiadała z życia swej matki szczególniejsze czyny, powtarzała jej piękne zdania; naprowadzała ojca, że jej opowiadał zdarzenia wojenne, temi sposoby wprowadzała go w rozmowę, że wreszcie spełzła ponurość, a Edelbertowi płynęły dni zimowe dosyć przyjemnie.

W pierwszych dniach wiosny przybył na zamek znakomity rycerz, z wezwaniem od książęcia do Edelberta, aby pierwszemu towarzyszył z swojem wojskiem w wyprawie. Jeszcze Edelberta ręka była za słaba do władania mieczem lub lancą, z żalem odmówić musiał osobistego towarzyszenia, wszakże zapewnił, iż pośle swoich ludzi. Jakoż dla ujęcia przeznaczonych do wyprawy, przez trzy dni w zamku hojnie utrzymywał, a czwartego do wyruszenia przeznaczonego z rana, zebrał wszystkich w sali rycerskiej, oddał ich pod zarząd rzeczonego rycerza i między innemi zalecał im, aby byli mężnymi i karnymi jak na uczciwych wojaków przystoi.

— Lwami, — mówił, — bądźcie we względzie na nieprzyjaciela, ale łagodnymi jak baranki dla spokojnych mieszkańców.

Ze łzami w oczach widział ich ciągnących z zamku i nie prędzej odstąpił od okna zamkowego, aż bory odjęły mu widok lubych swoich towarzyszów. Cały następny dzień był smutny i nudny. Wieczorem siadł przy kominku; powietrze było burzliwe, wicher wył lub świstał w murach zamkowych, uginał drzewa właśnie aż do ziemi; deszcz smagał w okna; ponuro na świecie, ponuro było w duchu rycerza. Róża przyłożywszy drzewa do kominka, stawiwszy starożytny, po jej matki pradziadach odziedziczony puchar z winem, siadłszy obok niego, rzekła:

— Kochany ojcze! opowiedzże mi historyę tego węglarza, który cię dziś po obiedzie odwiedził; uważam to bowiem, że go zaszczycasz szczególnemi względami, przypomina mi się, iż mieszkał nawet w zamku i miałam wtenczas towarzyszkę z córki jego Jagnieszki, dobre to dziewczę, ale zresztą nic nie wiem, a przecież jest ciekawą wiedzieć coś więcej o nim. Chciej ojczulku moję ciekawość zadowolnić.

— Chcesz bliżej poznać mego poczciwego Burcharda? Dobrze! Chętnie ja o takich poczciwcach mówię. I dziś mnie nie bez chwalebnej przyczyny odwiedził; domyślał on się, jak mi jest samotnemu w domu, jak mi to przykro, że nie mogłem stanąć na czele moich ludzi, dla tego przybył pocieszyć mnie. Był to kiedyś bitny i odważny wojak, towarzyszył mi we wszystkich wyprawach moich, zasłaniał w niebezpieczeństwach, dla tego mi też jest przyjemnym.

Wszakże zanim ci coś więcej o poczciwym Burchardzie powiem, trzeba ci wprzód wiedzieć mój stosunek do rycerza Kunerycha z Fychtenberga. Zamek tego rycerza jest ci znanym, oto z tych okien widzisz jego mury wyglądające z boru; ale samego Kunerycha nie znasz, bo jeszcze nas tu choć blizki sąsiad, nigdy nie odwiedził. Przyczyna tego jest ta, że mi jest nieprzyjaznym, jakkolwiek ja mu nic złego nie wyrządziłem. Jego nienawiść ku mnie pisze się z dawna, jeszcze z naszej młodości. Można powiedzieć, jeszcze w naszym wieku dziecinnym bawiliśmy na dworze naszego książęcia, gotując się w tej szkole do naszego przyszłego powołania. Kunerych już jako chłopiec był bardzo uparty, popędliwy i wielki samochwalca, i dla tego też go książę nie lubił; a że mnie był nasz pan przychylny, przeto mi tamten zazdrościł i mnie nienawidził. Gdyśmy obaj wzrośli i już byli upoważnieni broń nosić, zdarzyło się na gonitwie, którą książę wyprawił dla rycerzy, że i my naszej zdatności próbę dać musieliśmy; ja odebrałem pierwszą nagrodę, miecz ze złotą rękojeścią, który mi matka twoja, naówczas bawiąca na dworze księżnej jako dama honorowa, w obec świetnego grona znacznych rycerzy

i dam, na pąsowej oddała poduszce; Kunerych zaś dostał ostatnią nagrodę, parę srebrnych ostróg. Od tego czasu wzrastała jego nienawiść, nie mógł się na to zdobyć, żeby mi dał dobre słowo, mimo że ja byłem dla niego z otwartem sercem. Do najwyższego zaś stopnia doszła jego złość ku mnie wówczas, gdy książę po jednej walnej bitwie, zawiesił oto ten złoty łańcuch, jako uznanie mej waleczności, a Kunerycha za to, że przez swoją nierozważną zapalczywość bitwy owej o mało co nie stracił, surowo naganił.

Burchard w nagrodę swych usług, dostał odemnie kilka morgów roli z zabudowaniami przy granicy boru Kunerycha położonemi. Kunerych był i dla niego bardzo złym sąsiadem; utrzymywał wielką liczbę jeleni i dzików w borach swoich, a te niszczyły płody biednego Burcharda. Na jego zażalenie dałem mu rozkaz, żeby, co znajdzie z dziczyzny w szkodzie, ubił i do mnie odstawił. Wszakże co na moich dobrach zabiją zwierzyny, słusznie należy do mnie; jakoż Burchard wiernie dostawił co ubił. Raz wieczorem, gdym wracał z łowów, zabiegła mi Burcharda żona rozpaczająca drogę i prosi ze łzami, ażebym jej dał pomoc. Pytam w jakim względzie żąda pomocy i co ją do tej rozpaczy przyprowadziło? aż ona mi tu opowiada: jak Kunerych, gdy sobie siedziała z mężem i córką spokojnie przy wieczerzy, wypadł z boru z swemi ludźmi, kazał Burcharda związać i uprowadzić, zapewniając, że go zgnoi w więzieniu, a to za to, że mu zwierzynę kradnie. Najbliższym do tego powodem był dzik zabity w ogrodzie i wiernie odstawiony do zamku.

— Nie płacz, — odrzekłem, — idź z dzieckiem do zamku, mąż twój musi być wolnym, choćby mi przyszło to rabusiowskie gniazdo w gruzy obrócić; — i mając moich piętnastu, pospieszyłem odbić uwięzionego. Dowiedziawszy się, że Kunerych siedzi, zapijając ze swymi w karczmie, położonej na drodze ku Fychtenbergowi, ominęliśmy to miejsce, a wyprzedziwszy one, rozłożyliśmy się na równinie, przez którą przejeżdżać musieli. Nadjeżdżają, szumiąc ile dobrze wszyscy popojeni, my z zasadzki napadamy i rozbijamy ich, więźnia uwalniamy, a pozbierawszy pogubioną broń, puszczamy wózek nią naładowany ku Fychtenbergowi, sami wracając do domu z Burchardem. Na moją pociechę nikt nie został na pobojowisku. Kunerycha mógłbym był wziąść w niewolę, lecz pozwoliłem mu pierzchać ze swoimi. Jaka to była radość, gdyśmy ocalonego męża żonie, ojca córce oddali! tego trudno opisać, a przecież moja radość była nierównie większa, bo dobrze uczynić, czynnie pocieszyć nieszczęśliwych, jest to najprzyjemniejsza sercu memu szczęśliwość!

Żeby nie wystawić tej uczciwej familii na dalsze prześladowanie, osadziłem ją tu w zamku. Później odniósł Burchard w potyczce ranę, i stał się niezdatnym do boju; wszakże przecież zdatnym do pracy, a że nie chciał próżno jeść chleba, prosił mnie, żebym mu pozwolił w borach moich wyrobić sobie posadę i węgle palić. Zezwoliłem na to i w miejscu przez niego obranem postawiłem mu porządny domek, on zaś uprawił sobie kawał roli, której osiew wystarcza na utrzymanie familii, sprzedaż węgli daje mu także znaczny na stan jego dochodzik. Zamieszkanie jego leży w gęstwinie odległej znacznie od Fychtenberga, przytem twarz jego zakurzona węglem, utaja go dosyć przed prześladowaniem!

W tem opowiadaniu dodał jeszcze Edelbert kilka przykładów męztwa i wierności Burcharda, że im na tem gawędzeniu zeszło aż późno w noc. Aż tu naraz słyszą w zamku łoskot i wrzawę; bliżej słychać szczęk broni; zbliża się to wszystko aż pod drzwi izby, w której nasz rycerz z córką jeszcze rozmawiał. Silne uderzenie siekierą we drzwi, wywaliły takowe, i wszedł zbrojny rycerz w towarzystwie podobnież uzbrojonych.

— Oto Edelbercie, — rzekł przerażającym głosem, — godzina zemsty wreszcie nadeszła! Ja jestem Kunerych, którego ty tyle razy obrażałeś; za to mi teraz odpowiesz. Okujcie go w kajdany, strzeżcie pilnie aż do naszego odjazdu!



Najokropniejsze więzienie w Fychtenbergu będzie odtąd jego mieszkaniem, aż dopókąd nie

zgnije! Ten zamek odtąd do mnie należy, wraz ze wszystkiem, co mi się z ruchomości spodoba; gdy takowe przedmioty sobie wybiorę, resztę oddaję wam na łup; starajcie się, żebyście w trzy godziny byli gotowi do pochodu!

Róża padła okrutnemu do nóg, błagając o litość dla ojca, ale ten tyran odepchnął ją od siebie i wyszedł dumny z izby. Edelberta związanego strzegło dwóch zbrojnych.

Kunerych obrał właśnie do wykonania swej zemsty ten czas, gdy Edelbert wskutek rany nie mógł władać ręką, a zamek był ogołocony z bitnych ludzi, których posłano w pomoc księciu. Prócz tego przekupił jednego z domowników, człowieka lichego charakteru, którego z politowania przyjął Edelbert między swe sługi. Ten wprowadził do zamku nieprzyjaciela tajemną furtką, a nim zamkowi zbrojni zdołali stawić czoło nieprzyjacielowi, już ten stanął z należytym odporem, i tak zostali zwyciężeni. W taki sposób stało się, że Kunerych tak nagle wkroczył do zamku i komnaty Edelberta.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

KAŚKA I DJABEŁ.

(Ciąg dalszy.)

Mocno zmartwiony djabeł wrócił się z Kaśką na ziemię. Obiecywał jej złote góry, żeby go puściła; przeklinał ją; lecz wszystko napróżno. Zmęczony i do wściekłości przywiedziony, poszedł ze swym ciężarem na łąkę, gdzie młody owczarek w ogromnym kożuchu pasł owce. Djabeł przemienił się w zwyczajnego człowieka, dla tego owczarek go nie poznał.

— Kogoż to tam niesiecie, przyjacielu? — zapytał go dobrodusznie.

— Ach, mój drogi, ledwie oddycham. Wystaw sobie, szedłem drogą, nic złego nie myśląc, gdy ta kobieta uwiesiła mi się u szyi i żadną miarą puścić mnie nie chce. Chciałbym ją zanieść do najbliższej wsi i tam uwolnić się od niej, lecz siły mnie opuszczają, nogi drżą podemną.

— Zaczekajcie, ja wam pomogę, a lubo nie na długo, bo znowu muszę paść owce, połowę przecież drogi ją poniosę.

— Bardzom rad z tego.

— Uwieś się na mnie, — zawołał owczarek na Kaśkę.

Słysząc to, puściła Kaśka czemprędzej djabła i uwiesiła się na owczarku; a miał on co dźwigać, mając na sobie Kaśkę i ogromny kożuch, z rana od owczarza pożyczony. Po niedługim czasie sprzykrzyło mu się to; zaczął przeto przemyśliwać, jakby się Kaśki mógł pozbyć. W tem doszedł do stawu i chęć go wzięła ją wrzucić. Chcąc nieznacznie od niej się odczepić, umyślił razem z kożuchem ją ściągnąć, który był bardzo przestworny. Próbując czy się to uda, wyciąga jedno ramię z rękawa, a Kaśka nie wie o niczem; odpina pierwszy sznurek od guzika, następnie drugi, a nareszcie i trzeci — chlub! Kaśka wraz z kożuchem leży w stawie.

Djabeł nie poszedł za owczarkiem; usiadłszy na ziemi pasł owce i wyglądał, rychło owczarek z Kaśką powróci. Nie potrzebował długo czekać. Z mokrym kożuchem na ramieniu przybiegł owczarek na łąkę, mniemając, że obcy człowiek już pewnie będzie podewsią, a owce same się pasą. Spotkawszy się przy owcach, spojrzeli jeden na drugiego z zadziwie-

niem: djabeł, że owczarek bez Kaśki przychodzi, owczarek, że obcy człowiek jeszcze na łące siedzi. Po wyrozumieniu rzeczy, rzekł djabeł do owczarka:

— Dziękuję ci, żeś mi tak wielką przysługę wyświadczył. Być może, że ja do sądnego dnia byłbym musiał Kaśkę nosić. Nigdy ci tego nie zapomnę i kiedyś sowicie ci to wynagrodzę. A ponieważ ci wiedzieć wypada, kogo z biedy wybawiłeś, oświadczam ci, że djabłem jestem. To rzekłszy, zniknął.

Owczarek stał długą chwilę jak piorunem rażony. Potem rzekł sam do siebie:

—Jeżeli wszyscy tacy głupi jak ten, to dobrze!

Nad krajem, w którym nasz owczarek przebywał, panował młody książę. Obfitując w bogactwa i panem będąc wszystkiego, używał też wszystkiego do syta. Dzien w dzień bawił się serdecznie w najrozmaitszy sposób, a gdy noc przyszła, rozlegał się z komnat książęcych swawolny śpiew hulaszczych towarzyszów. Krajem zarządzało dwóch zastępców, którzy ani o włos lepszymi nie byli od swego pana. Czego nie zmarnował książę, to ci dwaj zatrzymywali dla siebie. Biednym poddanym przeto źle się powodziło.

Gdy razu jednego książę już nie wiedział co wymyśleć, zawołał swego gwiaździarza i kazał sobie i swoim dwom zastępcom przepowiedzieć przyszłość. Gwiaździarz posłuszny rozkazowi, badał w gwiazdach, jaki koniec tych trzech czeka.

— Wybacz, książę, — rzekł, skończywszy badanie, — tobie i twoim zastępcom takiego rodzaju zagraża niebezpieczeństwo, że opowiedzieć tego nie śmiem.

— Opowiedz śmiało, — odpowiedział książę, — lecz wiedz, że jeśli słowa twe się nie spełnią, to głową przypłacisz.

— Skoro taka wola twoja, — rzekł gwiaździarz, — posłuchaj: Nim księżyc stanie w pełni, przyjdzie po twoich zastępców djabeł, a w pełni i po ciebie przyjdzie, o książę, — i wszystkich was żywcem zaniesie do piekła.

— Bierzcie tego nikczemnego kłamcę do więzienia! — krzyknął książę, a słudzy rozkaz spełnili.

(Dokończenie nastąpi.)

OJCZE NASZ.

POWIEŚĆ NAPISANA PRZEZ F. S.

(Ciąg dalszy.)

Był wprawdzie ktoś, któryby mu był mógł pomódz: miał grosza dużo, a serca jeszcze więcej; ale właśnie do tego nie chciał Andrzej się udać, bo tym był nie kto inny, tylko ksiądz proboszcz.

Andrzejowa widziała to dobrze, że męża wielkie cisną troski; ale ilekroć go prosiła, aby jej się ze wszystkiem zwierzył, odbierała zawsze odpowiedź, że nic mu nie jest, że ma ból głowy, albo duszność, że to wnet przeminie.

Gdy jednakże listowy znowu przyniósł list, w którym było coś o skardze sądowej, zwątpił Andrzej zupełnie.

Ksiądz proboszcz odwiedzał codziennie chorą Andrzejową; nie uszła jego baczności osowiałość Andrzeja, i dobrze wiedział, co było tego przyczyną.

Pewnego dnia — a było to krótko przed świętami Bożego Narodzenia — spotkał proboszcz, odchodząc od chorej, Andrzeja w sieni domu. Andrzej ukłonił się i chciał się koło proboszcza przemknąć, ale ten zastąpił mu drogę.

— Andrzeju, co wam jest?

Marciniak przestraszył się widocznie.

— Mnie? Mnie nic! — odpowiedział z gorączkowym pospiechem, czuł przytem dobrze, że twarz się rumieńcem oblewa.

Proboszcz badawczo w twarz mu spoglądał.

— Ile pieniędzy potrzebujecie? — zapytał po chwili.

— Bóg zapłać jegomości, nie potrzebuję pieniędzy. Dobrze mi się powodzi...

Tchu mu zabrakło.

— Jeżeli tak, to dobrze, rzekł proboszcz obojętnie, — omyliłem się. Byłbym wam był pomógł, i to chętnie.

To powiedziawszy zwrócił się proboszcz ku drzwiom.

Chwilę jeszcze walczył Andrzej z pychą, potem obiema rękami uchwycił rękę proboszcza.

— Ratuj mię jegomość!

Wieczorem tego samego dnia siedzieli obaj w pomieszkaniu proboszcza. Przed Andrzejem leżała wiązka pieniędzy papierowych.

— Jaki procent mam opłacać? — zapytał Andrzej nieśmiało.

— Procentu nie żądam.

— Ależ księże proboszczu...

— Jeno się nie sprzeciwiajcie i weźcie pieniądze! Ja z was zysku ciągnąć nie chcę, ale pragnę, aby te pieniądze wam zysk przyniosły, i to zysk podwójny: dla majątku i dla duszy waszej. Powiedzieliście mi raz, że jeżeli mi się nie podoba, iż mularzom w niedziele każecie pracować, mam was u sądu zaskarżyć. Tego nie zrobiłem, ale natomiast zaskarżyłem was przed Panem Bogiem dla zgorszenia, jakie daliście całej parafii. Nie modliłem się o to, aby was Pan Bóg ukarał, ale aby złamał waszą pychę. Zapomnieliście o Bogu, przestaliście się modlić, i dla tego też Pan Bóg was opuścił i popadacie w niedostatek i nędzę. Myśleliście, że błogosławieństwo Boże nie jest wam potrzebne, że pilność i praca zastąpi wszystko; nie chodzicie do kościoła i pokazujecie upór i złość w obec Boga dla tego, że was karze za pychę i bezbożność; nie chcecie temu wierzyć, że pycha i bezsilna złość zginie, jak dym w obec nawiedzenia Bożego. Pan Bóg dał wam syna, nie zapomniał o was zupełnie — idźcie więc i pokażcie się godnym tej łaski! Zacznijcie znowu wiernie Bogu służyć, nie opuszczajcie modlitwy i nabożeństwa, a błogosławieństwo Boże znowu spocznie na waszej pracy!

Proboszcz mówił z zapałem, i zadowolniony, że mógł też raz do serca zatwardziałego przemówić, spoglądał zwilżonem okiem na Andrzeja, który zwiesił głowę, i patrzał zasępiony i chmurny.

Wreszcie wstał i wyprostował się dumnie.

— Niech sobie jegomość zatrzyma swoje pieniądze, — rzekł zimno, odsuwając pieniądze od siebie. — Myślał pewnie jegomość, że za pieniądze pozwolę się wyburczeć i wykrzyczeć, jak dzieciak! Nie, księże proboszczu! Rozejdziemy się tak, jak się zeszliśmy: jegomość zatrzyma swoje pieniądze i swoje kazania i nauki, a ja pozostanę tem, czem byłem.

Proboszcz z razu osłupiał, Andrzej zaś wlepił w niego wzrok zajadły i ciągnął dalej:

— Nie doczeka się jegomość, abym za głupie kilkaset talarów poszedł pomiędzy stare baby i z niemi klepał pacierze. Nie, księże proboszczu! Wolę ja ujadać się z żydami i lichwiarzami, wolę pracować, że aż mi kości trzeszczeć będą, aniżeli być pobożnisiem i obłudnikiem. Bóg zapłać, dobra noc!

Z trzaskiem zawarły się drzwi za Andrzejem.

III.

„PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE"

Wiatr mroźny dął od jeziora, i rzucał płaty śniegu w twarz rozpaloną Andrzeja, który nie zważając na to, wolnym krokiem szedł naprzód i udał się do karczmy.

— Dobrze, że przychodzicie, — rzekł mu gościnny, — tam w alkierzu czeka ktoś na was, jakiś waspan z miasta.

Marciniaka złe ogarnęło przeczucie; przerażony spojrzał na gościnnego i z drżącem sercem wszedł do alkierza.

Tam ujrzał znanego sobie agenta, siedzącego przy stole nad gazetą.

Andrzej czuł, że mu nogi wypowiadają posłuszeństwo, gdy ujrzał przed sobą wierzyciela; wnet jednakże zapanował nad sobą i z wymuszonym uśmiechem na ustach zasiadł przy stole naprzeciw niemu.

— Pan tu niezawodnie masz interesa we

wsi? — zapytał, nie wiedząc, od czego rozpocząć.

Agent odłożył spokojnie gazetę.

— A tak, tak, interesa, — odrzekł sucho. — Przybyłem tu dotąd po zaległe procenta od pewnego gospodarza, — znacie go zapewne? — bo wszystkie napomnienia były dotychczas bezskuteczne.

Andrzejowi zimny pot wystąpił na czoło.

— Nie podobna mi w żaden sposób teraz się zdobyć na zapłatę, — rzekł z westchnieniem i składając ręce błagalnie.

Agent wzruszył ramionami.

— Wiecie, że pożyczone pieniądze nie były moją własnością, tylko żyda, któremu te same prawie procenta opłacać muszę. Jeżeli mi nie zapłacicie, nie będę też mógł zapłacić żydowi; wtenczas on wypowie kapitał, a że wy nie macie grosza, więc gospodarstwo pójdzie na subhastę i żyd je nabędzie za pół ceny. To jest prosty obrachunek, którego się trzymać winniście.

— Okropnie! — jęknął Andrzej, który już na to nie zważał, że agent go ani „panem" nie tytułował, ani też nie był tak grzecznym, jak dawniej. — Ale, — zawołał rozdraźniony, — przy takich bezwstydnych procentach, jakie opłacam, muszę się zrujnować! Czy to po chrześciańsku, tak ludzi marnować?

— Agent uśmiechnął się złośliwie i poklepał go po ramieniu.

— Marciniaku, ja myślę, że ani ty, ani ja nie potrzebujemy pytać się o to, co po chrześciańsku — my się w chrześciaństwo, sumienność, pobożność i tym podobne rzeczy nie bawimy, wiesz przecie! Interes jest interesem. Zrobiliśmy interes, tyś zgodził się na te procenta, więc też musisz je „zapłacić!"

— Nie prawda! — krzyknął Andrzej, — ja nawet nie wiedziałem o tych bezczelnych procentach!

— Przedłożyłem ci wszystko czarno na białem, — odrzekł agent groźnie. — Jeśliś był za głupi, albo za leniwy, aby przeczytać obligacyą, to w takim razie twoja wina. Podpisałeś i basta!

Andrzej się zamyślił, podczas gdy dręczyciel jego sięgnął po gazetę. W myślach przeniósł się do swego zadłużonego domu, do łoża chorej żony, do dziecka, ztamtąd do proboszcza, którego pomoc tak brutalnie odepchnął. Nie powinieneś był być tak szorskim dla proboszcza, mówiło mu sumienie. Ale teraz czasu nie było do żalu, co się stało odstać się nie mogło.

— Niewiem sobie rady! — przerwał wreszcie milczenie, patrząc z ropaczą na agenta.

— Ja wiem, — odrzekł tenże, — jest jeszcze dla ciebie ratunek! Nasamprzód wytniesz twój bór, a jest on najpiękniejszy i największy z całej okolicy; ja ci kupca sprowadzę na drzewo, a wtenczas nie tylko będziesz mógł zapłacić zaległe procenta, ale zatrzymasz jeszcze tyle pieniędzy, że dalej będziesz mógł dla swej kieszeni operować. Będziesz mógł wykupywać gospodarstwa, rozparcelujesz każde, sprzedasz małe parcele łatwo, a to wcale intratny interes!

— Co? — wrzasnął Andrzej, — mój pyszny bór mam wyciąć i w paszczy lichwiarzy utopić, a potem jeszcze marnować gospodarstwa, zostać pijawką niedoświadczonych ludzi i całej okolicy przekleństwo ściągnąć na siebie?

— Tak, albo też podać swe gospodarstwo na subhastę, — uzupełnił agent obojętnie.

IV.

BĄDŹ WOLA TWOJA, JAK W NIEBIE TAK I NA ZIEMI.

— Dokąd to, panie Odrzyskórski?

To pytanie skierował gościnny, stojący przed karczmą, do Andrzeja Marciniaka, który pewnego rana przechodził w odświętnem ubraniu.

— Jeno wy stulcie waszą gębę, — mruknął Andrzej, — bo ja dłużej tych przezwisk znosić nie myślę!

— Tak, a my to mamy znosić i cierpliwie na to patrzeć, jak ludziom pożyczacie pieniądze za lichwiarskim procentem, potem wykupujecie ich gospodarstwa, rozdrabniacie na nędzne małe parcelki, sprzedajecie je rozmaitym przybłędom, którzy potem staną się ciężarem dla gminy, która ich będzie musiała żywić, gdy im ich kawałeczek gruntu nie da utrzymania i pójdą z torbami! Dla pana Odrzyskórskiego naturalnie dobry to interes: kupuje gospodarstwa bez pieniędzy, płaci je lasami, które wycina i przez to niszczy grunta całej okolicy, sprzedaje łatwo małe parcelki, a kupcom z góry zakłada stryczek na

szyję, i aby sam wypłynąć na wierzch, zapełnia wieś darmozjadami i żebrakami, którzy ostatecznie wykierują się na złodziejów i podpalaczy. Ale my na was już znaleźliśmy lekarstwo: już nikt od was grosza nie pożyczy, nikt wam garści ziemi nie sprzeda — przysięgliśmy sobie. Teraz wiecie o tem, panie Odrzyskórski, i możecie zawczasu innego chwycić się procederu!

Rozdrażniony szedł Marciniak dalej do miasta, gdzie w sądzie miał termin.

Agent miał racyą: Andrzej wyciął i sprzedał bór, następnie wykupił zręcznie kilka gospodarstw, rozparcelował, sprzedał liche parcelki za dobre pieniądze, i tem o tyle się dźwignął, że nietylko bieżące procenta mógł opłacać, ale nawet umorzył już część długu i spłacił nieco kapitału. Ale mimo to wszystko, majątkowe jego stosunki wcale się nie polepszały; podczas bowiem gdy się zajmował szacherką, i włóczył się po miastach i po sądach, zaniedbywał gospodarstwo, i co z jednej strony chwilowo zarabiał, to z drugiej strony stałe tracił. Andrzejowa nie przyszła jeszcze zupełnie do zdrowia, i wciąż tak była słabą, że z łóżka rzadko tylko na krótki czas wstawać mogła; całe więc gospodarstwo pozostawało na łasce sług. Gdyby to jeszcze było, tak jak za czasów nieboszczyka ojca Andrzeja, u którego czeladź się zestarzała, każdy sługa był uważany za członka rodziny, kochał swego pana, jak własnego ojca, i dbał o dobro jego, jak o własne mienie, nie byłby miał Andrzej straty, ale tak się nie działo; Andrzej godząc sługi, nie patrzał na cnotę i religijność, ale na to, aby mu jak najtaniej pracowali, więc najmował obleciświatów obojga płci, którzy się tanio godzili: Małemi zadawalniali się zasługami, ale zato pracowali na szkodę pana dla własnej korzyści — próżniactwo i kradzież sług niesłychanie prędko rujnowała dobytek Andrzeja. Ten zdybał czasem tego lub owego z czeladzi na próżniactwie, i lenistwie; wtenczas korzystał z pierwszego lepszego włóczęgi, który mu się nawinął i przyjmował go w miejsce tego, którego odprawił, ale to rzeczy nie naprawiło: służba ustawicznie się zmieniała, dom Andrzeja istnym był gołębnikiem, do którego jedni zdążali a drudzy z niego wylatywali, a próżniactwo, zaniedbywanie gospodarstwa i kradzieże dalszym szły trybem. Urodzaje były liche, bydło marniało i padało, sprzęty się psuły, a gdy Andrzej w wolnych chwilach swych szachrajskich zajęć, zajrzał do gospodarstwa i widział nieład i szkody, gdy mu do żywego dobodły nieskończone rachunki kowala, stelmacha, rymarza, cieśli i mularza, wtenczas rozpoczynał hałas, łajał, fukał i groził, a rozpasana i bezczelna czeladź postawiła się hardo i groziła, że wszyscy razem natychmiast sobie pójdą — w takich przypadkach spuszczał Andrzej z tonu i musiał dawać jeszcze dobre słowa, aby tylko zostali, a dopiero w mieście postarał się o nowe sługi, nie lepsze od pierwszych.

Było to już po żniwach; sprzęty były zwiezione, a chłodna i wilgotna nadeszła jesień. Andrzejowa coraz była słabszą, a lekarz nie robił żadnych nadziei, bo suchoty w najwyższym stopniu były już rozwinięte. Wreszcie i chłopczyk zachorował na koklusz, a wśród gwałtownego kaszlu krew mu się rzucała ustami i noskiem.

Nie długo męczyło się dziecko; w dzień Wszystkich Świętych wyniesiono je w małej trumience na cmentarz. Gdy trumnę spuszczano do grobu, ból gwałtowny przeszył serce Andrzeja — zadrżał jakoby we febrze, a łza zwilżyła płonące jego oko. Zebrani nad grobem odmawiali głośno Ojcze nasz, ale Andrzej konwulsyjnie usta zacisnął; tylko gdy zabrzmiały słowa „Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi!" otworzył nagle usta, jak gdyby temu kornemu poddaniu się woli Bożej chciał się sprzeciwić, ale wnet znowu usta zacisnął i trwał w hardem milczeniu.

Śmierć dziecka boleśnie zraniła serce Andrzeja i ustawicznie wskazywała mu tę chwilę, w której i z żoną się będzie musiał rozłączyć, i wtenczas na Bożym świecie pozostanie samotnym, chodził jak błędny, zamyślony i obojętny na wszystko, czasem wezbrana w sercu gorycz wybuchała gniewem namiętnym, to znowu gdy był sam na sam, wspominał imię syna, płakał jak dziecko, i narzekał na nieszczęście, które go ściga.

Gdy nie mógł znaleźć spokoju dla serca zbolałego, wchodził do izby, w której chora leżała żona, i siadał przy jej łożu. To było jeszcze jedyne miejsce na całym szerokim świecie, gdzie czuł nieco ulgi i spokój odzyskiwał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD CZASU ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

WSTEP.

Świętą powinnością każdego Polaka jest, aby znał historyę ojczystą, dzieje swego narodu. Jesteśmy przekonani, że każdy z Rodaków zna choć nie całkowicie, to przecież częściowo opis dziejów, które się wydarzyły na tej ziemi, o której Wincenty Pol pisze:

A czy znasz ty bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?

A czy znasz ty bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Te kurhany i mogiły,
I te dzieje, co się śmiły?

Przekonani więc jesteśmy, jak powiedzieliśmy powyżej, że każdy z Rodaków zna lub powinien znać dzieje narodu polskiego. A jeżeli tak nie jest, to nie braknie książek, które tej potrzebie mogą zaradzić.

Dla nas Polaków w Ameryce atoli jest potrzebnem nie tylko znać dzieje ojczyste, ale także obznajmić się z historyą Stanów Zjednoczonych, tej drugiej przybranej naszej ojczyzny, do której jedni z nas przybyli dla przyczyn politycznych, bo walcząc nieszczęśliwie za wolność, widzieli się zmuszonymi szukać tutaj przytułku, drudzy zaś ubiegli przed prześladowaniami, na które wystawieni byli dla swej wiary w krajach polskich pod zaborem pruskim jak i rosyjskim, inni zaś przybywając do Ameryki chcieli polepszyć byt swój materyalny.

Widząc potrzebę tego, aby Rodacy się zapoznali z dziejami kraju, w którym przebywają, postanowiliśmy w streszczeniu opisać historyę Stanów Zjednoczonych, a historya jak ją tutaj podajemy, jest opartą na dziełach najlepszych dziejopisarzy i historyków amerykańskich.

* * *

Historya Stanów Zjednoczonych naturalnym sposobem sama ze siebie rozkłada się na pięć epok czyli peryodów i wprawdzie:

1. Dawniejsi mieszkańcy;
2. Odkrycie Ameryki;
3. Osady i kolonie;
4. Rewolucya i wojna o niepodległość;
5. Rozwój narodu.

Pierwszy jest ogólnym opisem ludów zamieszkujących Północną Amerykę, nim Europejczycy do niej przybyli; drugi skreśleniem odkryć i przygotowań do zakładania osad; trzeci opisuje rozwinięcie się osad i zakładanie kolonij; czwarty obejmuje historyę rewolucyi czyli wojny o niepodległość a piąty wskazuje nam dzieje narodu amerykańskiego od przyjęcia konstytucyi aż do naszych czasów.

PERYOD I.

ROZDZIAŁ I.

Dawniejsi mieszkańcy.

Europejczycy, gdy przybyli do Ameryki, znaleźli ją zamieszkaną przez Indyan. Jednakowoż pozostały tu i owdzie pamiątki i ślady okazujące, że tę tu część świata zamieszkiwało przed Indyanami zupełnie inne plemię, stojące co do oświaty o wiele wyżej od rudoskórców. Anglicy dali plemieniu temu, które już dawno zaginęło, nazwę „mound-builders" (budowniczych kurhanów i mogił), ponieważ w dolinie Mississippi od jezior aż do zatoki meksykańskiej znaleziono mogiły, kurhany, okopy, które niezawodnie były utworzone w celach obronnych, religijnych i pogrzebowych. Przedmioty w tych mogiłach znalezione są zupełnie podobne do tych, które były w użyciu u dawniejszych narodów europejskich. W Nashville, Tenn., znaleziono statuę bożka z gliny i gipsu, podobną do tych, które się do dziś dnia odkopują w południowej Rosyi. W innych miejscach znaleziono broń i inne przedmioty, jakie były w użyciu pomiędzy dawniejszemi narodami europejskiemi.

Co zaś do Indyan, to twierdzą niejedni, iż pochodzą od starożytnych Fenicyanów, o których dalekich podróżach morskich donoszą dawniejsi historycy i dziejo-pisarze. Drudzy wywodzą ich ród od Egipcyan i Indyjczyków, inni zaś twierdzą, że przodkami ich byli żydzi, z owych plemion, które miały zaginąć, a które przebiegłszy całą Azyę przez wyspy aleuckie i cieśninę Behring przybyły do Ameryki. Lecz wszystkie te teorye nie mają żadnej pewnej podstawy i dla tego nie będziemy tu dłużej się nad niemi rozwodzić. Wspomniemy tylko jeszcze to, że ludy mieszkające w północno-wschodniej części Azyi mają wiele podobieństwa do plemion przebywających na północno-zachodniem wybrzeżu Ameryki. Nadmienić także trzeba, że w Missouri znaleziono pieniądz rzymski, w Ohio monetę perską i kawałek srebra, na którym był wybity rok 600 po Chrystusie; w Genesee powiecie, w stanie New York i w Montevideo w południowej Ameryce, odkryto w grobowcach miecze, hełm i tarczę, na której był napis literami greckiemi, z którego można było poznać, że owa broń i tarcza były zrobione 330 lat przed Chrystusem, za czasów Aleksandra Wielkiego, króla macedońskiego.

* * *

O nowym świecie, o którym Europejczycy słabe tylko mieli wyobrażenie, o jego mieszkańcach i produktach wytwarzano sobie bajki najrozmaitszego rodzaju. Głąb kraju był dla nich tajemnicą i opowiadano sobie najrozmaitsze bajki o plemionach olbrzymów i karłów, o ludziach z jednem okiem na środku czoła, o plemionach które żyły, nie spożywając żadnego pokarmu. Lecz skoro ludzie rozsądni zgłębili lasy i preryе amerykańskie, przekonali się, że krajowcy od zatoki meksykańskiej aż do północy, gdzie łańcuch jezior tworzy granicę naturalną pomiędzy Stanami Zjedn. i posiadłościami angielskiemi, ani co do postawy ani przymiotów nie różnili się od innych ludzi i że w całym kraju zwyczaje i obyczaje były temi samemi prawie.

Indyanie mówili różnemi narzeczami, lecz mów odrębnych było od oceanu atlantyckiego, aż do rzeki Mississippi i dalej jeszcze aż do gór skalistych tylko ośm: Algonquińska, Huron-Irokezka, Cherokeeska, Cawtabaska, Ucheeska, Natchezka, Mobilijska i Dakocka czyli mowa Sioux'ów.

Wszystkie plemiona i szczepy były sobie podobnemi pod względem fizycznym, w uczuciu moralnem, w instytucyach towarzyskich i politycznych i w religii. Wszyscy byli koloru rudego; postaci prostej, wysokiej, symetrycznej; z czarnemi wyrazistemi oczami; z czarnym, długim, szorstkim i twardym włosem i posiadali niezmierną siłę i wytrwałość. Kalek było mało a choroby rzadko kiedy u nich się okazywały. Byli leniwymi, małomównymi i nietowarzyskimi; odważnymi i czasem wspaniałomyślnymi w wojnie; stałymi, gdy cierpieli ból lub gdy ich męczono; mściwymi, zdradzieckimi i mrukliwymi, kiedy ich obrażono lub uszkodzono; nie zawsze wdzięcznymi za dobrodziejstwa otrzymane; pełnej powagi i mądrości w radzie; czasem bardzo wymownymi; czasem szczerymi i dobrymi przyjaciołmi, a niekiedy przyjaznymi i grzecznymi.

Mężczyzni zatrudniali się wojną i łowem zwierzyny i ryb. Niewiasty zajmowały się wszystkiemi podlejszemi pracami. Podczas polowania i rybołóstwa byli mężczyzni zręcznymi i niezmordowanymi. Stali się tak doświadczonymi w polowaniu, że złamana gałązka lub podeptany listek zdradzał im ślad nieprzyjaciela lub zwierzyny. Podczas podróży niewiasty nosiły wszystkie pakunki, ustawiały namioty, szyły ubiory ze skór, tkały maty, służące za pościel, z kory drzew i skór zwierzęcych, sadziły i zbierały ziemiopłody, jako to: kukurudzę, bob, ziemniaki, groch, melony i tabakę. Innych ziemiopłodów nie znali Indyanie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)